

Dunkierka Camerona

15 lipca 2014

Wybór Jeana-Claude'a Junckera na szefa Komisji Europejskiej to osobista porażka Davida Camerona. Jego polityka krzyku i hysterii skończyła się marginalizacją i izolacją Wielkiej Brytanii w Europie. Ale na Wyspach premier witany był jako mąż stanu.

Dwa tygodnie temu unijni przywódcy nominowali Luksemburczyka Jeana-Claude'a Junckera na szefa Komisji Europejskiej, nieformalnego prezydenta Europy, ignorując sprzeciw Węgier i przede wszystkim Wielkiej Brytanii. David Cameron za wszelką cenę próbował zablokować tę kandydaturę, słusznie uznając, że postawienie szwajcarskiego biurokraty na czele Unii w czasach głębokiego kryzysu społecznego zaufania do UE nie jest najlepszym wyborem. Na Wyspach w tej konkretnej kwestii premier dostał mandat od wszystkich pozostałych partii głównego nurtu. Zarówno od eurorealistycznej Labour, jak i od euroentuzjastycznych Lib-Dem. Wspierały go także media: od powściągliwego „Timesa”, przez euronapastliwy „Daily Mail”, na euroentuzjastycznym „Guardianie” kończąc. Brytyjskie polityczne, jak i medialne porozumienie ponad podziałami w sprawie sprzeciwu wobec wyboru Junckera na najbardziej prestiżowe stanowisko w Unii łamie tradycyjną narrację w opisie ostatnich zdarzeń. Podział na eurosceptyków i euroentuzjastów, którym zazwyczaj szafuje się bez umiaru, upraszczając złożoną polityczną rzeczywistość, w tym konkretnym przypadku stracił swoją rację bytu. Bo choć na pierwszy rzut oka wydaje się, że David Cameron po raz kolejny bezsensownie postanowił stanąć w awangardzie i wyraźnie zaakcentować odrębność Wielkiej Brytanii od reszty kontynentalnej Europy, to jednak tym razem jego argumentacja nie była pozbawiona podstaw. Zwłaszcza jeśli poważnie brać pod uwagę głos sprzeciwu „europejskiego elektoratu” wyartykułowany w ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego. Jean-Claude

Juncker symbolizuje bowiem wszystko to, co w Unii tak drażni i irytuje coraz większą i stale rosnącą liczbę Europejczyków – jest modelowym wręcz przykładem zakulisowego gracza, technokratycznego „typowego polityka z Brukseli”.

BIUROKRACJA ZAMIAST WIZJONERA

Juncker jest najdłużej urzędującym przywódcą w Europie. Premierem Luksemburga został 17 lat temu, w rządzie zasiada od 1984 r. W skali całego globu wyprzedzają go jedynie dyktatorzy, ale w przeciwieństwie do nich cztery razy z rzędu wygrywał demokratyczne wybory i wciąż jest najbardziej lubianym politykiem w swoim kraju. W Europie Luksemburczyk od siedmiu lat przewodniczy Eurogrupie, czyli naradom ministrów finansów strefy euro. Funkcja ta nabrała olbrzymiego politycznego znaczenia, kiedy wybuchł kryzys wspólnej waluty i Eurogrupa stała się centrum zarządzania akcją ratunkową. Juncker sprawdził się jako negocjator oraz pośrednik między ministrami i premierami większego politycznego kalibru. Te zakulisowe gry, nocne, tajne negocjacje to jego naturalne polityczne środowisko, w którym porusza się sprawnie i z wielką chęcią. Luksemburczyk znany jest z uprawiania polityki w zaciszu gabinetów. „Gdy sprawy są poważne, trzeba kłamać” – przekonywał, odnosząc się do tajnego spotkania ministrów finansów w sprawie ratowania greckiej gospodarki, co później wypominała mu niemiecka prasa sprawnie podjudzana przez Angelę Merkel, która ma do Junckera bardzo ograniczone zaufanie. Jeśli targana problemami Europa chciała mieć na swoim symbolicznym czele przebojowego wizjonera, finezyjnego negocjatora i porywającego mówcę, którego głównym celem będzie przekonanie do projektu „Europa” coraz bardziej wyalienowanych obywateli starego kontynentu, a przy okazji kogoś, kto będzie potrafił sprawnie posługiwać się urzędniczą, technokratyczną nowomową brukselskich biurokratów, to Juncker jest wyborem fatalnym. Nawet jego zwolennicy jeszcze przed wyborem twierdzili, że „nie jest kandydatem ich marzeń”. Sceptycznie do tej kandydatury odnosiły się Szwecja, Włochy i Niemcy,

przynajmniej do czasu aż niemieckie media zaczęły wywierać presję na Angeli Merkel, aby wyraziła swoje zdecydowane poparcie. Ostatecznie o wyborze Junckera na szefa Komisji Europejskiej zdecydowała nie tylko idea „spitzenkandidaten” (rezolucja PE wzywająca partie do wyznaczenia kandydatów na szefa unijnego urzędu i nieformalna umowa, że funkcję tę dostanie zwycięskie ugrupowanie), ale też zerojedynekowa postawa Davida Camerona, który z wyboru na szefa KE zrobił próbę swojej politycznej siły na europejskiej arenie.

DAVID – BŁĘDNY RYCERZ

Strategia Davida Camerona polegająca na całkowitym zakwestionowaniu sensowności wyboru Junckera i zupełna niechęć do jakiegokolwiek kompromisu były błędne, ale premier Wielkiej Brytanii nie miał po prawdzie żadnego innego pola manewru. Geneza tej osobistej porażki Camerona sięga roku 2005, kiedy to nowo mianowany lider torysów ogłosił wycofanie Partii Konserwatywnej z Europejskiej Partii Ludowej. To był polityczny kamyk, który spowodował lawinę stopniowej alienacji Wielkiej Brytanii na europejskiej arenie. Dodatkowo Cameron, politycznie grając z eurosceptykami we własnej partii, walcząc o głosy sympatyków UKIP oraz zabiegając o aplauz eurosceptycznej brytyjskiej prasy, ostatecznie stracił kontrolę nad europejską polityką Wielkiej Brytanii. Walka, krzyki i histeria zastąpiły kompromis i żmudną dyplomację w zaciszach gabinetów. W sprawie wyboru Junckera Cameron chciał być jak Margaret Thatcher, która podczas szczytu Unii w 1984 r. uderzyła torebką w stół i uzyskała rabat – ulgę w składkach do wspólnej kasy. Tym razem głośne i stanowcze „nie” Camerona zostało zupełnie zignorowane. Lider torysów, będąc na własne życzenie zakładnikiem eurosceptycznych sił nad Tamizą, wybrał wyjątkowo bezproduktywną argumentację, pouczając przywódców europejskich krajów i mówiąc im, że są w błędzie. Retoryka Camerona, pełna tradycyjnych wątków walki, bitew i wojen o reformę Unii, bezproduktywna w Brukseli, zdała egzamin w domu. Z perspektywy brytyjskiej ulicy premier jawi się jako święty

Jerzy (o)błądnie walczący z biurokratycznym, europejskim smokiem. Bezskutecznie, ale za to z sercem. I mimo porażki jest moralnym zwycięzcą. Dlatego też w oczach torysów i eurosceptycznej prasy David Cameron ze szczytu w Brukseli wrócił do kraju w glorii bohatera. To, zachowując wszelkie proporcje, druga Dunkierka („W tym ocaleniu było zwycięstwo, które należy uznać” – mówił w 1940 r. Winston Churchill o ewakuacji stamtąd brytyjskich wojsk). Chwalebna porażka daje polityczne paliwo torysom w wyborczym wyścigu na Wyspach. Według sondaży YouGov i Survaion Brytyjczycy są przekonani, że opozycja Camerona wobec Junckera była uzasadniona. Twierdzi tak ponad 40 proc. respondentów. Do tego jeszcze wyspiarze uważają, że lider torysów ma lepszą wizję Europy niż Ed Miliband stojący na czele opozycyjnej Labour. Problem w tym, że to, co dobre z partyjnego punktu widzenia, niekoniecznie przekłada się na sensowność i skuteczność polityki zagranicznej. Próba prowadzenia polityki europejskiej w oparciu o bliskie relacje z Angelą Merkel okazała się porażką. To nie jest koniec świata, ale prawdopodobny koniec chaotycznej europejskiej strategii torysów. Cameron, jeśli faktycznie chce reformy Unii, staje przed wyzwaniem zdefiniowania i określenia na nowo swojej politycznej agendy. Wbrew alarmistycznym prognozom Wielka Brytania nie jest dziś bliżej wyjścia z Unii. Na takie ekonomiczne i polityczne ryzyko David Cameron jest jednak zbyt pragmatyczny.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)